

**PRENUMERATA**

W MIEJSCU:

rocznie . . . . . rs. 3 kop. —  
półrocznie . . . . . rs. 1 kop. 50  
kwartalnie . . . . . rs. — kop. 75

Cena pojedynczego numeru kop. 10.

Z PRZESYŁKĄ:

rocznie . . . . . rs. 4 kop. 40  
półrocznie . . . . . rs. 2 kop. 20  
kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 10

# TYDZIEŃ

**OGŁOSZENIA.**

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz  
petitu lub za jego miejsce.  
za 2—6 razowe po kop. 4 za  
wiersz.  
za 7—10 razowe po kop. 3 za  
wiersz.

CENA OGŁOSZEŃ  
na pierwszej str. podwojna.  
Reklamy po 10 k. za w. petitu.  
Cena ogłoszeń zagranicznych po  
10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcja, obiedwie księgarnie, oraz po zagranicami guberni wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Piotrkowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Tomaszowie rawskim księgarnia J. Mazaraki—przez tego,  
w Częstochowie W. Gasztecki. w Łasku W. Grass.  
w Będzinie „Janiszewski Stan. w Łodzi „Janiszewski Leopold  
w Brzezcinach „Krzemienieński Jul. w Radomsku „Janiszewski Michał  
w Dąbrowie „Tomaszewski J. w Rawie „Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

**CEMENT** **SKŁAD MATERIAŁÓW APTECZNYCH I FARB** **Lak Asfaltowy**

## JÓZEFA ŻARSKIEGO

poleca:

**Wody mineralne naturalne tegorocznego czerpania i sztuczne.**

Materyjały apteczne, Preparaty chemiczne, Narzędzia chirurgiczne.  
Wodę kolońską, Potrzeby toaletowe, Perfumy angielskie i francuskie.  
Pudry, Mydła, Kosmetyki, Olejki eteryczne.  
Oliwy niejejskie (Vierge), na flaszki i funty, Malagaską do palenia.

Oliwy maszynowe, Smarowidła, Smary do skór. Ekstrakt, Esencje octowe, Ocet stołowy Spiesza i winny.  
Środki dezynfekcyjne i na wygubienie robactwa. Artykuły używane w Gospodarstwie rolnem, domowem i przemysle.

(7—1)

**Farby, Lakiery, Pokosty, Masy do podłóg.**  
Sprzedaż hurtowa i detaliczna. Ceny niskie.

Wydzierzawiwszy **polowanie** w majątku W-go Szpilfogła **Wola-Krysztoporska i Kreżna**, sprzedam pp. myśliwych, aby nikt, bez mojego piśmiennego pozwolenia, nie polował w tym majątku. Osoby, które samowolnie poważą się polować, zmuszonym będę pociągać do odpowiedzialności, drogą właściwą.

(3—2)

Radaea Stanu **Libicki.**

**Egzamina wstępne do szkoły IV-klasowej filologicznej męskiej z pensjonatam J. Popowskiego** rozpoczyna się w dniu 4/16 sierpnia i trwać będą do dnia 19/31 (włącznie). Lekeyje rozpoczną się 20 sierpnia (1 września.) Program nauk ściśle zastosowany do programu gimnazjów klasycznych.

Przełożony zakładu  
**J. Popowski**

(6—2) *Kandydat Nauk Fizyko-Matematycznych.*

**5-cio kl. Instytut Naukowy w Kieleca ch.**  
Zapis uczniów przychodnich i pensjonarzy rozpoczyna się z d. 15 sierpnia r. b. Nauki z d. 1 września. **W programie** obok przedmiotów **klasycznych** pomieszczone są i **przedmioty realne**. W pensjonacie **konwersacyja** w jęz. **francuzkim i niemieckim** przy dwóch guwernerach. Muzyka, fechtunek i lekeyje tańców dla życzących.

Przełożony Instytutu **W. Płoszyński.**

(4—1)

Powieść Elizy Orzeszkowej  
**SYLWEK GMENTARNIK**

wyszedł z druku nakładem S. Lewenthala, jako tom 30-ty taniego zbiorowego wydania dzieł tej sławnej autorki i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

(2—1)

**Aleksander Babicki**  
P. ADWOK. PRZYSIĘG.  
przeniósł Kancelaryję do domu F. Aleksandrowicza.

(3—2)

**Stefan Tyblewski**  
przeniósł warsztat swój z dotychczasowego pomieszczenia **na ulicę Odeską (Tomczyzna)** do domu W-go Karlińskiego, gdzie był dawniej **stolarski zakład pod firmą „Rodzina”**

(3—3)

**Seweryn Szwarzenberg**

Adwokat Przysięgły

przeniósł Kancelaryję do domu W-nej Psarskiej.

(3—3)

**Dyonizy Skurzalski** Adwokat przeniósł swą Kancelaryję na ulicę „Moskiewską”, do domu W-go Skotnickiego.

(4—4)

**MULAT.**

Ogier trakeński, maści karej, nagrodzony medalem na wystawie warszawskiej 1882 r., będący wówczas własnością JW-go Stojowskiego, **do sprzedania w dominium Szyncezyce**, odległość od stacyi Baby wiorst 8.

(4—2)

**NASZA**

**„NIEJEDNOMYŚLNOŚĆ.”**

Nielogicznością byłoby żądać, od żywego i normalnie rozwijającego się społeczeństwa, zupełnej, oweczej, że tak powiemy, jednomyślności w poglądach i czynach. Ale jeżeli z jednej strony różnica zapatrywań, ciągle ścieranie się sprzecznych przekonań, a ztąd wytwarzający się podział na obozy i partyje walczące w imię prawdy dla ogólnego dobra, jest jedną z najwybitniejszych cech żywotności narodów — to z drugiej, dowodem ich zdrowia i siły są także pewne zasady ogólne, na które się wszyscy godzą, pewne przekonania i uczucia dające świadectwo ich odrębności, będące owem *sancuarium*, którego bezkarnie naruszać niewolno. Słowem, obok różnolitości—jednolitość. Zarówno obie ważne, zarówno konieczne, jako wspólne cechy każdego organizmu, każdego życiowego objawu.

Wobec tego, cóż mamy sądzić o tej anomalii, że u nas, w naszym społeczeństwie, zamiast takiej dwustronności—widzimy jedynie jednostronność? Zdaje się, jakby jedyną działającą u nas siłą była odśrodkowa, jakby jedynym naszym hasłem było „varie-

tas delectat,” jakbyśmy się na żadnym polu pracy zejść na dłużej nie mogli; każdy stara się usilnie o to, aby mieć swój odrębny, specyficzny, jednostkowy rozum, i przeciwstawiać go zdrowemu rozsądkowi ogółu; żadnej jedności, żadnego ładu w myślach i czynach. Słowem bez krzty jednolitości, krańcowa różnolitość — tak zwana przez Prusa „niejednomyślność.”

Zaprawdę, serce się kraje, a rozum skłonny wątpić, czy my jesteśmy organizmem, mogącym żyć jeszcze i znaczyć coś w rodzinie ludów?

Na poparcie słów naszych, weźmy jako przykład choć jedną tymczasem sprawę, sprawę najżywoźniejszą dziś w życiu naszym narodowym, w zapatrywaniu na którą powinniśmy się godzić wszyscy jak jesteśmy, jak bracia rodzeni dłoń sobie podawać, wspólnie myśleć, sądzić i działać—nie wahając się i nie wątpiąc.

Sprawa ta—to stosunek nasz do Niemców. Jakże się jednak spodziewać skuteczności nie już walki jakiejś ekonomicznej z Niemcami, do której inteligencyja nasza nie może z siebie wykrzesać energii, ale choć obrony jakiej takiej—wobec nieszczęsnej niejednomyślności, niepoprawnego idealizmu i naszej szlachetności, a właściwie sentymentalizmu, jeszcze właściwiej—głupoty. Przepraszamy, ale najlepiej nazywać rzeczy po imieniu—łatwiejsze porozumienie.

Z wyjątkiem kilku zaledwie pism naszych nie błądzących w tym razie po labiryntach ideologii, jak: Prawdy, Chwili, Wędrowca, Kuryjera Codziennego, Dziennika dla wszystkich—reszta, mówiąc o niemieckiej arogancyi, przesławdowaniach i stosunku do nas, przywdziwia glansowane, jak na bal białe rękawiczki, obwijając prawdę w bawełnę, lub wypowiadając ją mimochodem, jakby z przymusu, pod naciskiem opinii, aby zbyt widocznie nie gwałcić swego publicystycznego obowiązku.

Jakże to śmieszne i smutne! Czy myślicie, dumnego, zarozumiałego, w głębi duszy, choćby nie wiem jak był układny, pogardzającego nami Niemca, zmusić swą wspaniałomyślnością do uznania kiedykolwiek w polaku i słowianinie równego mu człowieka? Toż on od najdawniejszych czasów był jego zdeklarowanym wrogiem, toż jemu to właściwie przypisać należy wszystkie nasze narodowe nieszczęścia i ostateczny upadek; któż jeśli nie on od lat stu podburzał przeciw nam innych i któż jeśli nie on dzisiaj przez swoich Hartmanów i Bismarków stara się nam dowieść, że jesteśmy skazani na wieczną zagładę, że jesteśmy tylko mierzwą pod niemiecką uprawą!

Widziadła te—to nie duch Banka wciąż nas przesławdający, ale rzeczywistość. Przesławdają nas one i niepokoją ustawicznie, tem bardziej, gdy widzimy pośród nas obłąkanych i niepoprawnych i gdy czytamy takie niestworzone rzeczy, jak zwyciężanie wroga ideałem, jak usprawiedliwianie naszych mistrzów pędzla udających się po sła-

wę do Berlina, smieszna uciechę z przypuszczalnej zazdrości Niemców na widok ich aredydzieli, i liściowe chowanie w zanadrze nazwisk zdrajców sprzedających w poznańskim Niemcom swą ojcowiznę.

A powtarza się to bezustanku.

Oto w ostatnim tygodniu nastąpił się nowy powód do zaznaczenia tego sentymentalizmu i babilońskiej wieży naszych pojęć. Dostarczył go obchód jubileuszowy uniwersytetu w Heidelbergu.

Niektóre nasze gazety wystąpiły z niefortunnym projektem przyjęcia udziału w tej uroczystości. Gdy jeden z czytelników „Kuryjera porannego” ośmielił się redakcyi tego pisma zwrócić „skromną uwagę” na niewłaściwość takiej agitacji wobec tego, co Niemcy wyrabiają ze szkołą i oświatą polską w poznańskim, warszawskie „Słowo” krzyknęło: „o sancta simplicitas! gdzie jest związek pomiędzy pruskim rządem i policyją, a uniwersytetem Heideberskim i wogóle niemieckim narodem?”

Otóż raz panowie postawmy sobie kwestyję jasno—i przyznajmy, że z bardzo małym, nieznacznym wyjątkiem—związek ten istnieje, a to dlatego, że u Niemców kwitnie jednomyślność. Sz. panowie! nietylko sejm pruski i Bismark organizował przeciw nam wycieczki, obrzucając wzdrgną i nienawiścią; organizowali je także Niemcy zachodni i zgromadzenia ludowe pochwalające taką politykę Bismarka, nie wyłączając nawet otoczonej niegdyś naszą sympatją Saksonii. A sejm rzeszy niemieckiej? Czy sądzicie, że gdyby żelazny ksiądz zafatował był kwestyję kościelną wcześniej, przed rozpoczęciem *Polenhecy*, mielibyśmy za sobą choć taką mniejszość, jaka była w tymże sejmie? czyby sam Windhorst bronił był nas tak energicznie? Nie.

Co się tyczy naszej niejednomyślności w najświeższej sprawie jubileuszu heidelbergkiego, to pozwolimy sobie, na zakończenie tej bolesnej z czytelnikiem pogadanki przytoczyć rozumne i pełne godności odezwanie się Kuryjera Codziennego:

„Do niedawna wielu z naszej młodzieży

odbywało w Heidelbergu studyja, dopóki wszechnica ta odznaczała się prawdziwym postępem... Do r. 1848, a nawet po części jeszcze do r. 1870, wiał tam duch inny; dzisiaj pochodnię, mającą krzewić oświatę i postęp, oparto tam na kodeksie, na którym czytamy wypisane godło *vae victis*, a stary kodeks mieszczący podstawy prawa narodów, leży zdeptyany i podarty na szmaty. Dlatego, niechaj się cieszą, niechaj odgrzebują z pyłu niepamięci świetne swe czasy, niechaj sławią krzewicieli oświaty z katedr wszechniczy Heidelbergskiej jak: Spinoza, Majer, Puffendorf, Savigny, Creutzer, Voss, Schlosser, Thibaut, Mittermeier, Rau, Chelius, Gervinus i w. i.—ale przedstawicieli naszych uniwersytetów tam nie potrzeba”.

Słusznie. Dzięki wam też za te szlachetne słowa! Pamiętajmy, że jubileuszowe obchody i wystawy odbywają się nietylko w Heidelbergu i Berlinie. Gdziekolwiek zawsze staniemy do cywilizacyjnego apelu; niech tylko zawoła nas do niego prawdziwa, nie rzekoma cywilizacyja!...

## Z TEATRU.

Farsa Blizińskiego. — „Bilecik” Bałuckiego. — Zalety i wady „Wigilii Ś-go Andrzeja” Dorowskiego. — Prusacy na scenie. — Nasza bezbarwna i apatyczna publiczność. — Co zrobiliby Niemcy?

Artyści teatru krakowskiego pod kierunkiem p. W. Antoniewskiego zawitali do naszego grodu z obietnicą dania tylko pięciu przedstawień.

Rozpoczęto we wtorek komedyją J. Blizińskiego „Ciotka na wydaniu.” Jestto jedna ze słabszych fars znanego komedyjopisarza ze względu na oklepaną treść i pospolitość intrygi; umiejętna jednakże i staranna gra artystów sprawiła, że rzecz tę wysłuchaliśmy z zadowoleniem. Na odznaczenie zasługuje p. Roland (August); natomiast p. Winiarskiej (ciotka Filomena) zarzuciłbyśmy brak prawdy i finezyi w scenie gry maryjasza. W „Bileciku miłosnym” bardzo misternem cacku scenicznym M. Bałuckie-

go, rolę Juli z wdziękiem i dokładnością odtworzyła p-na Ziemińska, a p-ni Wójcicka (Anusia) tak dobrze nadaje się do ról pokojówek i dziewcząt wiejskich, że radziemy jej innych zadań na scenie nie przyjmować. Przedstawienie zakończone zostało obrazem ludowym ze śpiewami i tańcami p. t. „Wigilija Ś. Andrzeja przez Fr. Dorowskiego jednego z artystów trupy. Wójt Jędrzej Krzemionka (p. Antoniewski) nie zrzadza się na małżeństwo swej córki Marynki (p-na Ziemińska) z Jąskiem Maczkim (p. Orliński), mszcząc się na jego matce Józefowej (p-ni Winiarska) za to, że ta wzgardziła niegdyś sercem i ręką Krzemionki. Sferę uczuć, możliwych w wyższych warstwach społecznych, przenosi autor w serce ludu. Lud ten, nawskróś religijny, zawsze godzi się ze swym losem i nie potrzeba na to dwudziestu kilku lat, aby w sercu chłopca (nawet wójta!) wygasły uczucia miłości. Gdybyśmy nawet przypuścili, że takie uczuciowe wyjatki trafiają się między naszym ludem, to musimy zarzucić autorowi nieznaną serce gorzących płomieniem miłości; jeżeli bowiem Krzemionka kochał tak długo kochankę swych lat wiosennych, to musiał w swym wielkim sercu znaleźć też miejsce dla tego wszystkiego, co było drogiem dla Józefowej, czyli, że nieprzyjemne uczucia Krzemionki dla Jaska stanowiąc są błędem psychologicznym. Natomiast obraz p. Dorowskiego odznacza się umiejętną budową sceniczną i kilku zupełnie dobrymi typami, np. Maciej Karpel (p. Jejda) i jego tragi-komiczny satelita z ezerwonym nosem, Walenty Kapusta (p. Winiarski). Obiedwie te role odegrane zostały wzorowo. Mazur i krakowiak dziarsko odtądzone na zakończenie, swojski charakter całego przedstawienia, doskonała i energiczna reżyseryja, dokładne wyuczenie się ról (sufflera prawie nie słyszeliśmy)—wszystko to złożyło się na bardzo dobre wrażenie, które wynieśliśmy z teatru po pierwszym przedstawieniu, gdyby nam tej duchowej uczty nie zatruto... zapowiedzią „Wojny podczas pokoju” komedyi Mosera i Schöntala.

## Z teki starego kawalera.

napisał

Józef Właściewiczski.

Rzadko rozstawione latarnie błyszczały migotliwym światłem na ulicy, przez którą idąc sam, zadumany, zły i smutny, chciałem łowić uchem szezebiot jakiejś zgrabnej dziewczeczki, opierającej się na ramieniu mężczyzny. Postępowali oni zaledwie o kilka kroków przedemną..

Nie było jeszcze późno, jak na letni wieczór; gwar uliczny jeszcze nie ucichł, lecz na tej ulicy mieszkali ludzie przywykli wcześniej zasypiać, a nie powracać dorózkami do domu. Jeżdżą tu gęsto dorózki; ale choć w tej chwili dla mieszkańców ulicy późno jest, na korowód jednak dorózek zawczasu. W tej chwili cicho tu, spokojnie i smutno, bo to dzielnicia biedaków.

Szezebiot dziewczęcia zajął mnie nie dlatego, że przerywał w ciszę, ale że wydał mi się ptaszka szezebiotem serdecznym, jakoś dziwnie miłym!... Od czasu do czasu przerywał mi go tenorowy głos mężczyzny, ale nie gniewałem się o to, bo zaraz potem słyhać było srebrny chichot dziewczęcia. Nie rozważałem, ani starałem się wiazać w myśli ich urywane słowa; serce moje zrozumiało, że się kochali.

Opanowała mnie ciekawość, taka zwykła ot ciekawość przechodnia. Bylbym ich słuchał długo, ale do mojej siedziby było już niedaleko; radbym był serdecznie podążyć dalej za tym dziewczęcym głosem bo około mnie pusto było w owej chwili i na sercu jakaś tęsknica osiadła, a w stancyjce mojej nie czekał na mnie nikt...

W życiu starego kawalera to „nikt” jest naturalnem choć zawsze smutnem.

Oboje zatrzymali się przed bramą, do której i ja zadzwonić miałem; światło latarni pozwoliło mi poznać moją sąsiadkę z przeciwka, spotykaną często na podwórzu lub w bramie. Mężczyzna nie był znajomy; ubraony był jak ci, z których formę do żurnali biorą: brylantowa szpilka tkwiła w jedwabnym krawacie i zgrabny czarny wąsik wyraźnie się rysował nad karmionymi ustami,—był to słowem taki przeciętny nieznanomy, których stu dziennie spotyka się na ulicach.

Słyszałem jak dziewczeczka prosiła go, by odwiedził raz wreszcie jej mamę, pragnącą go tak bardzo poznać. W chwili gdy stróż chwycił odemnie „dyskę”, młodzieniec jeszcze się wahał przed otwartymi drzwiami, z których stróż spoglądał ciekawie i niecierpliwie na nich oboje.

—Cóż mnie to może obchodzić—mówiłem sam do siebie, otwierając drzwi swego mieszkania.—Kochają się, pobiorą ot—i gdzieś łatwiej o szczęście? gdzież, jeśli nie pomiędzy dwójkiem kochanków, dążących do jednego celu, do małżeństwa? Dla jednej takiej chwili jak ślub, wesele, kwiaty, muzyka, warto przecież—o! i jak warto rzucić tęsknotę, bezcelową samotność, marzenia; a cóż dopiero dla całego życia szczęścia, którego ślub jest uwertura.

Mnie samotnego zazdrość naprawdę opanowała, gdy usiadłszy w ciemnej swej stancyjce, patrzyłem w otwarte a oświetlone okno naprzeciwno, w którym ujrzałem tę samą dziewczętkę, jej matkę starsuszkę, odkładającą na bok zaczęta pończochę i spostrzegłem tego... tego, który kochał je obiedwie, który miał ładny czarny wą-

sik i brylantową szpilkę w jedwabnym krawacie.

Joasia znała go dawno, bo od wesołego wieczorku u państwa rejentostwa.. Zapraszała go do swej mamy tembardziej, że on trudził się dla niej prawie codzień, odprowadzając ją do domu, po zmudnej robocie sztucznych kwiatów i liści. Sztuczne listki i sztuczne barwy, dobierała ona codzień, nasładowując naturę; układała i myśli w piękne bukiety, w których zawsze najpiękniejszym wydawał jej się jeden kwiat—przyśłość.

I ze swego okna słuchałem rozmowy ich, ale więcej chwyciałem ją sercem niż uchem. O ucho obijał się tylko brzęk rzucanych lyczeczek w szklanki, syczenie samowara, przesuwanie krzeselka; serce słyszało szezebiot i uśmiechy dziewczęcia, matowy głos starszki, lub westchnienie przystojnego pana Edwarda. Z prawdziwym zajęciem patrzyłem na ten obrazek skromny, bez jaskrawych kolorów, bez złoczonych ram; i przykro jakoś było mi, opuszczonego, patrzeć na ten cudzy szczęścia pączek, lada chwila mogący rozkwitnąć w kwiat piękny, pod wpływem rodzinnego ciepła.

Śnać ten pan Edward serce mieć musiał dobre, skoro ujrzawszy wiaty, polny kwiatek, zapragnął go przenieść do cieplarni swojej, gdzie ani jeden podmuch burzliwych wiehrow życia nie wtargnie, nie wniesie widma nędzy, głodu i niedostatku.

Pesymista niezawodnie zszpeciliby ten obrazek podejrzeniem lub domysłami; ja, nawet pełen zazdrości, nie mogłem na wyniosłem czole młodzieńca dopatrzeć krzywych linii, któreby go zaciemnić mogły. Pan Edward był piękny, miał stanowisko w świecie, więc i szlachetnym być musiał... I dobrze mi było upajać się tym wido-

Tytuł tej farsy dziwnie jakoś licuje z dzisiejszymi polsko - pruskimi stosunkami. Wojnę podczas pokoju prowadzą z nami Niemcy na wszystkich punktach: politycznym, ekonomicznym, a nawet na polu sztuki. Grając niesmaczne, pruskie farsy na polskiej scenie, a do tego jeszcze w „nowych, oryginalnych kostjumach pruskich,” czyż dobrowolnie nie wystawiamy sobie świadectwa dramatycznego ubóstwa? Czyż my, naród tak poetyczny, mamy rzeczywiście tak ubogą literaturę dramatyczną, że p. Antoniewski, pomimo chęci, musi obrazać nasze uszy niesmacznymi konceptami oficerów pruskich i razić nasze oczy widokiem pikielhaub krzyżackich? Jeżeli zmuszeni jesteśmy kwas siarczany lub esencją octową sprowadzać od prusaków, nie mając tych przedmiotów w domu, to już trudno pojąć, co nas zmusza do zapożyczenia się od pruskiej Tali i Melpomeny, i to jeszcze wkrótce po tak obfitem żniwie dramatycznym na urodzajnej glebie konkursowej!..

Znając dziwną objętność i apatyję naszej publiki, słabą tylko ludziliśmy się nadzieją, że „Wojna podczas pokoju” odegraną będzie przed pustymi krzesłami. Jakoż zawiedliśmy się... teatr był pełen. A więc nie stać nas nawet na bierną pogardę wstrętnych wyrobów pruskiej muzyki! Co zrobiliby prusacy, gdyby ich chcieli uraczyć polską komedią, a na afiszach zapowiedziano „kostjmy nowe, oryginalne polskie”? Oto przedewszystkiem w imieniu całego miasta zażądałoby od dyrekcji teatru zmiany sztuki, gdyżby zaś to nie poskutkowało, albo nie przyszłoby do teatru, albo przysłałoby garstkę łobuzów w celu wygwizdania. Nol ale my nie możemy tak postępować, bo „wyrósłiśmy z Niemcami na wspólnej glebie cywilizacji zachodniej” a gdyby ci Niemcy pomimo tej wspólności (?) „cywilizacji” zaczęli nas gnębić, to przecież jeszcze mamy na nich pełne koleżany strzał, zatrutych... „idealnie”!

We czwartek grano nową i głośną komedię Z. Przybylskiego „Wicek i Wacek,” a teatr był tak pełen, jak rzadko bywa w

Piotrkowie. Gra artystów i w tej sztuce była bardzo poprawna. Na sobotę afisze znów zapowiedziały niemiecką farsę p. t. „Wielki Dzwon” Blumenthala, lecz dyrekcja teatru rozważywszy widocznie niewłaściwość tego zapożyczenia się od wstrętnych sąsiadów, postanowiła zamiast „Wielkiego Dzwonu” dać jeden z naszych swojskich utworów dramatycznych. Trudno nam zataić żywe zadowolenie z powodu tego rozumnego kroku p. Ant. i dlatego pozwalamy sobie w imieniu ogółu wyrazić szan. dyrektorowi nasze uznanie.

Sprawozdanie z reszty przedstawień w przyszłym numerze. J. L.

## Wiadomości Bieżące.

— **Organy w kościele farym w Piotrkowie.** Zaproszony przez miejscowego proboszcza, księdza Floryjana Kosińskiego, oficjała katedry włocławskiej, pan Józef Szymański organmistrz z Warszawy, przybył d. 30 lipca b. r. do naszego miasta dla zawarcia umowy o budowę nowych organów dla kościoła farnego. Jakoż na zebraniu pod przewodnictwem ks. proboszcza, księży parafijalnych i członków dozoru kościelnego, po długich debatach, zgodzono się na zakupno gotowych już organów fabryki p. Szymańskiego, które w roku zeszłym na wystawie w Warszawie zaszczycono złotym medalem. Organy te, lubo niewielkie, bo posiadają tylko rejestrow (głosów) 12 w manuale, a 3 w pedale o dwóch klawiaturach umieszczonych przed organami (tak, że grający jest obrócony twarzą do ołtarza) odznaczają się głosem silnym, dzwicznym i miłym. Są one systemu stożkowego, udogodniającego grę organistów, z zastosowaniem wszelkich tegoczesnych ulepszeń; będą też prawdziwą ozdobą tutejszej świątyni, oraz zaliczać się do najlepszych w kraju. Wprawdzie, jak na tutejszą parafję, nabycie tych organów stanowi koszt dość znaczny; jednak względnie do rzeczywistej ich war-

tości jest on bardzo umiarkowany, tembardziej że p. Szymański znaczne uczynił ustępstwo z ceny pierwotnej.

Jakoż aby ułatwić zebranie potrzebnego funduszu na kupno tych organów, pan Naczelnik gubernii udzielił pozwolenie do zbierania składek przez miesiąc ośm. Ks. proboszcz, księży parafijalni i dozór kościelny są też pełni ufności, że mieszkańcy Piotrkowa i okolicy chętnie pospieszą ze złożeniem wedle możliwości ofiar, przeznaczonych na zakupno tego wyborowego instrumentu, mającego być chlubą i ozdobą parafii piotrkowskiej. Redakcja „Tygodnia” składając na cel powyższy rs. 3, oświadcza się z wszelką gotowością pośredniczenia w przyjmowaniu ofiar i inniennego kwitowania ofiarodawców z odbioru i wysokości składanych kwot w szpaltach pisma.

— **Do ochronki** tutejszej katolickiej przychodzi codziennie, z wyjątkiem świąt, około 85 dzieci. Z tych pozostaje na obia! od 40 do 50 przeszło. Pomieszczenie ochronki zostało w tym czasie odświeżone, a należący do niej ogródek oczyszczony. Wogóle ochronka cieszy się bardzo troskliwą opieką.

— **Prezesem** Rady Nadzorczej straży ogniowej, obrany został ponownie adwokat tutejszy p. Stefan Młodowski.

— **Dwaj tutejsi welocypedyści;** pp. P. i W., wyjechawszy z Piotrkowa w dniu 31 z. m. o godzinie 6-iej z rana do Kalisza, stanęli u celu podróży już o godzinie 3-iej po południu, zkąd też natychmiast przysłał telegram.

— **Zwiedzanie salin Wielickich** przy rześmim oświetleniu, muzyce, tańcach w sali balowej, fajerwerkach i ogniach sztucznych, odbędzie się dnia 18 b. m. Urządzającym jest p. Franciszek Klein, do którego się też należy zgłaszać po bilety. Uroczy i imponujący widok, oraz głębokie wrażenie jakie sprawia zwiedzanie salin podczas kompletnego ich oświetlenia, niewątpliwie i w tym roku, zciągnie do pod-

kiem, na tle którego imaginacja rysowała mi obraz szczęścia coraz dokładniej i wyraźniej. Lecz zazdrość coraz mi głośniejszą w piersi grała; jak zwykle w człowieku, który pełen egoizmu, osamotniony, radby cndze szczęście dla siebie przywłaszczyc.

Ot, zwykła słabostka ludzka. Ale precz, samolubne myśli! Czegóż zazdrość na ten obrazek ma narzucać jakąś gazę pesymizmu, jak wichur mgłę na piękne kwieciec usiane łąki, szumiące lasy zielone.

W okienku, naprzeciwno, było już ciemno, a ja jeszcze błędziłem myślą w marzeniu, gdzieś bez celu. I była mi czegóż jeszcze smutniej i jeszcze więcej osamotnionym na świecie się czułem....

## II

Liście kołysały się jeszcze na drzewach, których tak niewiele w mieście wielkiem, że trudno poznać mieszczuchowi, iż smutna jesień się zbliża. Koncerta za to, odczyty, rauty i nawet bale, ostrzegają go zazwyczaj, że karnawał już nadechodzi.

Gdy w skwarne lato, gnuśny, niemal śpiący, przebiegałem leniwie ulice, byłem zły, zgryźliwy i gorzki; jesienią zaś, budzenie się ogólne do życia w salonach, nawet mnie, zawiedzionego młodzieńca, budziło także z zadumy nad sobą, nad ludźmi, nad wszystkim....

Dziwne to, że kiedy wiosna rozkwitająca weseliła wszystkich, mnie ona smuciła, jak gdybym wierzył, że moje nie rozkwitnie już życie; za to gdy jesień chmurna, mglista, zasępiła oblicza przechodniów, ja śmiałem się zawsze, złośliwie może, ale śmiałem się i byłem wesół.

W towarzystwach nie bywałem nigdy za-

dumany ani smutny. Tam też spotykałem jedną kobietę, która jakoś inaczej patrzyła na mnie niż inne; była jak kwiat egzotyczny, wyluchany ciepłem salonów, o którym myśląc, marzyłem o uroczym Joasi i jej szczęściu. I ta miała takie iskry w czarnych oczach i ta wierzyła mi w mej duszy, i ta szczebiotką była; ale przyszedłem za późno... serce jej inszy już zabrał.

Któż jest ten szczęśliwy, który znów wczesniej odemnie sięga po szczęście, tak łatwo ku mnie mogące się pochylić?

Jego tu na raucec niema, bez niego tu, mówią, nudno, bo to młodzieńiec „wesół i i przystojny”. I kiedy wszyscy narzekali na nudy, ja się ich nuda bawiłem właśnie; te zasępione jak jesienne niebo fizjognomije, wprawiały mnie w złoty humor....

Któs jakąś smętną zagrał piosenkę; mnie ona nie przypadła do smaku, bom się przecie nie widział tu tak opuszczony jak przedtem: byłem pomiędzy ludźmi i blisko tej... z bezdennymi oczyma, tej, która do innego miała należeć.

I znów zazdrościłem, choć śmiałem się sam z tej ciągłej mojej zazdrości.

Zasępiałem lekka, wesółą przy jej akompaniamencie piosenkę; w mojej duszy zadrgały jakieś nowe struny — struny humoru; one to nadały pewien błyskotliwy powab melodyi, która zajęła wszystkich. Czarne, iskrzące oczy, dziękowały mi długim spojrzeniem.

Eh! zacząłem rozumieć własne szczęście!

W mojem przekonaniu zasadzało się ono na lekkim traktowaniu życia, na ciągłych gryzących drwinach z cudzego smutku, a może i z nieszczęścia... I gdybym w ową chwilę spotkał tak szczęśliwą parę, jak moja sąsiadka z przeciwnika — może.. może i nie

umiałbym już zazdrościć uroczym, cudzej przyszłości.

Nucąc hulaszczą piosenkę, z żalem wracałem do samotni mojej; ale humor polepszyło mi spotkanie znajomej twarzy.

Kto to był?... Ot przyjacieli, postać wesółą, przyjacieli, który samotnika umie na chwilę obalamucić efemerycznym towarzystwem, jakimś chłodnym uciskiem rozgrzać i zabawić przymuszonym uśmiechem.

Weszliśmy do mojego mieszkania. Z piosenką na ustach spojrziałem przez okno, bo migoczące naprzeciwko światło wabiło oczy. Tam, pomimo chłodu, otwarte było okno; w stancyjce cztery świece gorzały słabym światłem; przy zwłokach martwej staruszki klęczała dziewczę, to samo znajome mi, niegdyś śmiejące się dziewczę....

— Patrz — zawołałem — ale na marmurówem obliczu towarzysza zaigrał suchy, przymuszony uśmiech. Piosenka urwała się, u sposobienie moje wesole sparaliżował ten widok. A jednak — jednak rozśmiałem się się ironicznie, dziwnie, bo marmurowa twarz znikła mi z oczu; tylko ucho gonilo jeszcze na schodach kroki oddalającego się szybko przyjaciela.

Oparłem czoło o dlonie i patrzyłem. Dawny obrazek się zmienił, nie słyszałem nie już — serce rozumiało, iż ten, który powinien tam być, nie był i nie przyjdzie więcej.

Otworzyłem okno, by chłód przywrócił mi równowagę umysłu. Wiatr niekiedy przeciągłym świstem przebiegał strych i kominy, niekiedy zakłósał światłem czterech świec białych, a dziewczę łąkało, wymawiając imię ukochane, imię matki i... jego imię. On jednak jeszcze nie wrócił z hulaszczym wędrownikiem za granicę, chociaż tu, zbladłe usta modliły się pół głosem, by Bóg



nych na języku odzywam się do członków straży piotrkowskiej, by który z nich zechciał komendę ową wypisać i doręczyć sz. redakcyi „Tygodnia,” gdzie adres i marka na odpowiedzi pozostawione.

W ubiegłym czwartek w południe zapalił się tu drewniany, piętrowy dom, w niemieckiej dzielnicy miasta. Straż przybiegła na miejsce, a więcej jeszcze, jak to zwykle bywa, przybyło gapiów, do których należał i niżej podpisany. Na dachu pokazało się kilkunastu dzielnych toporników, którzy z całą brawurą zabrali się do dzieła. Dziwna jednakże, że wśród ciągłych nawoływań „na bok!” przy zrzucaniu belek, ani razu nie slyszalem niemieckiego „forwec”, ale za to byłem świadkiem bardzo charakterystycznej rozmowy; jaką prowadzili Niemiecocy topornicy stojący najspokojniej na dole, ma się rozumieć po niemiecku:

— Jadłeś pan już obiad? — pyta jeden.

— Ma się rozumieć, dlatego też dopiero przyszedłem.

— A, Guter Jezus! ja na śmierć zapomniałem! Trzeba się będzie wymknąć. Połacy sami obronią.

Otóż to pruskie „obywatelstwo!” Bez „Bier und Fleisch” nie ma czynu! Zanim przyjdzie do pożaru, musi wprzód każdy „zu mittag essen!” Od czegoż są wreszcie teraz „die Polen”?!.

Trzecim przyczynkiem wyzwolenia jest chęć urzędzenia akcyjnego „Sklepu spożywczego”, na wzór zawierckiego i innych, o czem tu myślą nie na żarty. Podobno już pewien fundusz na cel ten przeznaczony; tylko brak inicyjatywy, brak kompetentnej dłoni, któraby się tym zajęła; zaś panowie fabrykanci, około których „Dziennik Łódzki” zwykł chodzić na łapkach, udając, że wierzy w ich asymilacyę, ani myślą brać na głowę „takiego kłopotu.” Potrafią oni świecić sobie w nocy latarniami elektrycznymi, ale tym, którzy w krwawym pocie czoła na nich pracują, nie chcą pomódz, nawet gdyby to im samym żadnej szkody nie przyniosło, owszem, nawet pewną w przyszłości korzyść. Ale taka korzyść to dla nich bagatela, istny problemat! Co to, proszę państwa za korzyść: znośny byt robotników polskich, których p. Ender w „Lodz. Zeitung” pozwolił sobie nazwać „polskimi pijakami.”

Z płotek miejskich komunikuję dwa wypadki samobójstwa przez powieszenie. Pierwsze spełnił jakiś żyd waciarz; drugie wójt wsi Widzewa Bitdorf, świeżo z wójtostwa usunięty, co podobno było główną przyczyną samobójstwa. Napisał testament, kilka listów, wziął rewolwer, a po kilkakrotnem bezskutecznym strzelaniu do siebie, powiesił się w lesie na pasku. Ja bym tak radził uczynić wszystkim „dorfom” „korfom” „jerom” i „manom.”

Na zakończenie wypada mi podnieść kwestyę bardzo ważną, a mianowicie brak obszerniejszego kościoła katolickiego. Kościół parafjalny obecny nie może pomieścić nawet tysiąca ludzi, a parafija posiada przeszło 11,000 dusz. Podczas większych tedy uroczystości kościelnych, nawet połowa pobożnych nie może pomieścić się w dzisiejszej świątyni, ale stać musi na cmentarzu. Rzeczą więc parafjan jest zebrać fundusze, wziąć się do pracy i pokazać Niemcom, że bez ich pomocy się obejdziemy i potrafimy coś zrobić dla wspólnego dobra. Niepowiem.

### Z nad Przemysy, 18 lipca 1886 r.

Obecne szkółki i szkoły górnicze i gminne. — Zwińczenie przez p. Wietera szkółki w Niwce. — Usiłowania bezskuteczne ludności w celu otworzenia takiej. — Zapewniona jej przyszłość. — Świetny stan finansowy innych.

Pomijając na teraz inne wiadomości, wypada pomówić o najpilniejszej i palącej potrzebie, jaką jest szkoła, która może i powinna wykorzystać z młodego pokolenia zle nałogi, a przez oświatę uczyć żyć uczciwie i moralnie.

W gminie Górniczej znajdują się szkoły początkowe ogólne: we wsiach *Zagórze* i *Klimontów*, utrzymywane ze składek włościan, z wykładem religii w pierwszej przez miejscowego proboszcza; we wsi *Sielcu* w połowie przez włościan, w połowie przez dominium; w kolonii *Wanyczylów* ze składek oficjalistów i robotników przy zagórskich kopalniach węgla i hutach cynku Paulina. Składki te są potrącane przez administracyę tych kopalń i zakładu i w stosunku do oznaczenia etatu, comiesięcznie wnoszone do kasy szkolnej przy zarządzie gminnym. W Dąbrowie zaś, a respective w kolonijach *Reden*, *Huta Bankowa* i *Ksawery* istnieją szkoły: 2-klasowa męzka z 3-ma nauczycielami, dwie żeńskie, z których jedna z 2 ma nauczycielkami i jedna ogólna dla chłopców i dziewcząt. We wszystkich czterech naukę religii prowadzi ksiądz przy kościele filjalnym w kolonii Reden; wszystkie są utrzymywane ze składek wynoszących 1% od zarobku robotników przy miejscowych kopalniach węgla kamiennego i zakładzie Huta Bankowa.

Tym sposobem w pomienionych wyżej miejscowościach potrzeba oświaty jest mniej więcej zaspokojoną. Niema jednak wiele potrzebnej szkoły, w licznie zamieszkałej wsi Niwce, z której to szkoły mogliby także korzystać mieszańcy przyległej osady Modrzejów i wsi Bobrek. W wymienionej wsi Niwce egzystowała wprawdzie przez lat parę (zaprowadzona przez s. p. Kierferera b. pełnomocnika właścicieli dóbr i kopalń sukcesorów „G. von Kramsta”) początkowa szkoła, utrzymywana z opłat od uczęszczających do niej dzieci, lecz skutkiem zamierzonego przez odnośne władze tutejsze - krajowe, podciągnięcia jej pod istniejące ogólne przepisy, następcą s. p. Kierferera, zowiący się „generałnym dyrektorem” p. Wieter, wolał zwinąć takąową zupełnie, aniżeli ustąpić z niemieckiego jej kierunku. Zwinienie to z zarządzenia p. Wietera nastąpiło w m-cu sierpiu 1877 r. Od tego też czasu przykre jest patrzyć, jak niemające żadnego zajęcia miejscowe dzieci i подростки, tak chłopcy jak dziewczęta, (kiedy ojcowie ich znajdują się na robocie w kopalni lub zakładzie, a matki zajęte domowymi robotami) zbierają się licznymi gromadkami po różnych miejscach, zbytkują tamże na rozmaite niecene sposoby i uczą się tylko jedne od drugich złego, przemysłując gdzie przedsięwziąć wycieczkę dla zrobienia komu psoty lub szkody, poobrywania niedojrzałych owoców, porywania w ogródkach marchwi i innych jarzyn i popsucia przy tej okazji płotów i parkanów. Może nigdzie niema tylu małych szkrodników jak w Niwce; po wsiach bowiem dzieci włościan rolników, mają jakie takie zajęcie w czasie lata, starsze pasą bydło, młodsze choć gęsi — w Niwce zaś dzieci robotników nie posiadających rolnego gospodarstwa, a co idzie zatem i żywego dobytku, żadnego zajęcia nie mają.

Powodowany takim położeniem, z braku tyle pożądanej szkoły, ówczesny Wójt gminy, zwoławszy w 1882 r. zebranie właścicieli nieruchomości w Niwie, po przedstawieniu im istotnego stanu rzeczy, otrzymał protokólne tychże zadeklarowanie płacenia na utrzymanie szkoły miejscowej po 1-u rublu rocznie z każdego dymu, czyli z komina nad dach mieszkalnego domu wychodzącego; na podobną składkę chętnie zgodzili się następnie i właściciele domów w osadzie Modrzejów, choć pomiędzy nimi tylko dwóch jest katolików, reszta zaś wyznania mojżeszowego, — poczem na zebraniach w „cehenbauzie” kopalni i w kancelaryi zakładu w Niwce, otrzymał wójt także chętnie zadeklarowanie się oficjalistów i robotników, płacenia na utrzymanie szkoły 1% procentu, czyli po 1-iej kopiejce z każdego zarobionego rubla, a nawet w razie, jeżeliby składka ta okazała się niedostateczną, na stopniowe podniesienie jej, chociażby do

1-iej kopiejki z każdych 60-ciu kopiejek zarobionych. Budującym wówczas był postępek 17-letniego chłopca, który, gdy przystępując wraz z innymi do podpisania protokółu, zapytany, jaki pożytek ze szkoły odnieść może, oznajmił, iż ma matkę wdowę i młodsze rodzeństwo przy niej, utrzymując się jedynie z jego zarobków w kopalni, — pragnie przeto jako umiejący czytać i cokolwiek pisać, ażeby młodszy bracia i siostry, mogli także uczyć się w szkole.

Dalsze działanie wójta gminy w tym przedmiocie przerwaniem zostało, z powodu choroby tegoż, która zniewoliła go do usunięcia się od obowiązków służby. Zebrałszy jednak pewne dane, jakoto, że zarobki robotników, którzy zobowiązali się płacić składkę na szkołę, wynosić mogą około rubli 4,000 miesięcznie, a ztąd 1% składki miesięcznej około rubli 40, przed zdaniem jeszcze obowiązków wójtowskich, wymotywował i wysłał w m-cu sierpiu 1883 r., przedstawienie w tej kwestyi do ówczesnego p. naczelnika dyrekcji naukowej łódzkiej. Do przedstawienia tego dołączył zebrane przez siebie deklaracyje uszczególnienia składek na utrzymanie szkoły z pomieszczeniem zarazem projektu do etatu, obejmującego rs. 300 pensyi dla nauczyciela, rs. 150 na najem lokalu, oraz odpowiednich kwot na opał i na wszelkie inne potrzeby; jednocześnie odniósł się do pełnomocnika właścicieli Niwki, p. Wietera, aby zechciał udzielić utensylja pozostałe po zwinętej poprzednio szkole, jakoto: ławki, stoły itp., oraz skłonić się do zarządzenia w wykazach zarobkowych robotników potrącań zadeklarowanych przez nich składek, bez którego to potrącenia, trudno byłoby zbieranie takowych, a nawet niemożliwem.

O ile było wiadomo, na odezwę tę w swym czasie nadeszła zadawalniająca odpowiedź p. Wietera, jedynie z warunkiem, aby nastąpiło zwolnienie od składek oficjalistów i robotników hut cynku i walcowni blachy w Sosnowcu, na szkołę elementarną egzystującą jakby w tymże Sosnowcu.

Jaki był następny przebieg tej sprawy w ciągu upłynionych lat 3-ech, czy interes szkoły w Niwce uwiązł w kancelaryi gminnej, czy dyrekcji naukowej — nie mamy o tem żadnej wiadomości; na wniesione nawet przed rokiem do dyrekcji naukowej podanie przez paru mieszkańców pomienionej wsi, (ponawiające prośbę o utworzenie tyle razy omówionej szkoły) żadnej odpowiedzi dotąd nie było!..

Od niejakiemu jednak czasu, rozchodzi się pogłoska, (nikby z kancelaryi gminnej wychodząca) że p. Naczelnik dyrekcji naukowej, nie polegając na zadeklarowanych składkach przez robotników, ale jest skłonny pozwolić na otwarcie szkoły w Niwce, dopokąd potrzebne fundusze na utrzymywanie tejże, nie zostaną zapewnione przez miejscowych właścicieli domów i gruntów.

Zapewne jednak pogłoska ta jest najwyczałniejszem zmysleniem; jak z jednej strony bowiem, posiadacze czterdziestu kilku domów, a przy nich tylko 92-eh morgów liwych gruntów, nie byłiby w możności zapewnić przeszło rs. 500 rocznie potrzebnego na to funduszu, — tak z drugiej strony, doświadczenie uczy, że szkoły utrzymywane ze samych tylko składek robotników, egzystują i rozwijają się doskonale, jak to ma miejsce z dąbrowskimi szkołami, mianowicie w kolonijach Reden, Huta Bankowa i Ksawery. Szkoły owe nie tylko że zaspokoily swoje długi, przeszło rs. 1,500 wynoszące a powstałe przed przejściem tych szkół pod zarząd wójta gminy, ale podwyższyły od paru lat pensyje wszystkim nauczycielom i nauczycielkom, zaspakajają wszelkie bieżące potrzeby i mają przeszło rs. 2000 pozostałości w gotowiznie; nie można przeto wątpić, że i szkoła w Niwce mogłaby być z podobnych składek od robotników, odpowiednio utrzymana; do otwarcia też szkoły tej mieszkańcy miejscowi oraz przy-



przedstawiało komieczny widok. Ale im wyżej wstę-  
pano, człowiek lub rodzicielki, co razem  
które okrągłymi swymi pancerkami otaczały potężny  
wielki, ziemny żółw, niekiedy w towarzystwie małych,  
to białe mądre słonki. Czasem zjawiał się  
nieustannie ruchem, a na ziemi i krzewach widnia-  
ły wesołe na wszystkie strony; strzępiałe czarne paj-  
ki, chrapające, mchy o bardzo pięknych metalicz-  
nych blaskach ozdoby trawy, kwiaty i powietrze  
Zielone koniki polne rozlicznej wielkości podskakiwa-  
ły, karawana tworzyła niekiedy doń lub w kraki.  
na chwilę dostrzedz mogliśmy, gdyż przed naszą  
barwnych płazów, pięknych metalowo zielonych albo  
niebieskich, była wygryzająca się różno-  
gadami, ale i rozmaitemi innymi stworzeniami. Osto-  
Gęstwiną otaczająca nas, istotnie rola się nie tylko  
nego smiechu na twarzach naszych dojrzeć mogła.  
twarzą tembardziej nachmurzoną, im więcej tłumio-  
Wobec tak dokładnego objaśnienia nie mogła  
podstępnie po swoim praocju w rajul  
truczny niż mój papieros, i nie odziedziczyła ani cienia  
długie tak wysoko na siodle! Większość z nich miał ma-  
lekasz tych biednych bojowników stworzeń, i to się  
Uciekają przed nami na wszystkie strony, a ty się  
po kilkanaście godzin. Starysz ten szum i szelest.  
den. Wyobraź sobie, że ich tu w każdym krzaku  
zniesz się z nimi. Spójrz! no tam—znowu pełznie je-  
się jeszcze boisz gadów. No, dziś, da Bóg, zaprzyja-  
prawy. Tak dawno mieszkał w tej krainie, a ty  
bie dogodził, przypuszczając cię do dzisiejszej wy-  
— Gad! a to okropne!—zawtar. — Wiedział jak so-  
się głośno śmiać.

Tabunow przy tej dramatycznej opowieści zaczął  
zasyczał groźnie! Znikł później w trawie pod krzakiem.  
gad. Podniósł się przed mym koniem tak wysoko! a jak

— 13 —

— 16 —

— W tej kwestyi muszę się zgodzić z Maryją  
Andrejewną, Iwanie Iwanowiczu,—wmięszał się do roz-  
mowy Suslikow swoim piskliwym głosikiem.—Nadejdzie  
wkrótce chwila, że historia przerobi się w duchu  
prawdy i sprawiedliwości, kiedy Klio z pamięci swej  
wykreśli imiona chciwych sławy egoistów, którzy dla  
zdobycia wawrzypów brodzili w morzu krwi ludz-  
kiej i przez tysiące lat pociągali innych swym zgu-  
bnym przykładem. Będą się tam zapisywały tylko im-  
miona prawdziwych dobroczyńców ludzkości, wielkich  
myślicieli, uczonych, poetów, artystów, i innych wiel-  
kich duchów, którzy jedynie są godni nieśmiertelności!...  
W tym tylko kierunku zdobywana sława jest praw-  
dziwym, godnym ludzkości celem. Człowiek, jako in-  
dywiduum, schodzi do grobu, ginie i znika z tem, co  
duchem czy duszą nazywamy; ale imię jego i pamięć  
jego czynów żyje w sereach niezliczonych przyszłych  
pokoleń. To jest prawdziwa i jedyna nieśmiertelność!

Było to jedyne, rozumne zdanie Suslikowa, pod  
którem chętnie bym się podpisał; mimo to Maryja An-  
drejewna zaczęła zeń szydzić.

— Wybornie, Romanie Lwówiczu, odrzekła  
z ironicznym uśmiechem. Najrzęczniejszy niemiecki  
profesor nie powstydziliby się pańskiego przemówienia.  
Ale pomimo to wszystko, dziękuję panu za takiego du-  
cha nieśmiertelności: żyć za grobem w chwale na  
stępnym pokoleń, a nie o nich nie wiedzieć—taki re-  
zultat mnie nie pociąga. A sława za życia? wierze  
mi państwo, to pragnienie sławy sprawia ludziom sto-  
kroć więcej złego, niż pożytku, a i osobiście daleko  
więcej cierpienia, niż słodyczy przynosi. Wogóle to  
tylko swawolna igraszka słów—frazesy, frazesy!

— A to znakomite! zakrzyknął pułkownik Rewnin,  
naprawdę skwaszony.—Takie to są więc poglądy naszej  
młodzieży, przyszłej nadziei? Takie są więc owoce tego  
postępowego wychowania? Osiwieleliśmy w tem przekon-  
naniu, że się bijem za sławę i wielkość ojczyzny,

wyrazną gestykulacją. Wielki, czarny, szkaradny  
— Gad! jakiś wolała Anna Kiryłowna z bardzo  
pułkownikem szybko do gromadki naszej nadbiegł.  
zapytał się swej małżonki Tabunow, który razem z  
— I coż się tak przestraszyło, kochanku? —  
palcem wskazywała, aleśmy nie dojrzeć nie mogli.

Patrzyliśmy w kierunku, w jakim nam okiem i  
— Tu... tu... tam!

porośnięte miejsce zwłocia.  
ciągniętym palcem, wzrok nasz na piaszczyste trawę  
stała przerażona, wystraszona oczyma i wy-  
krzykiem tym przestraszyła, a teraz z żywymi gło-  
ko razem z innymi ku Annie Kiryłownie, która nas  
który dał się słyszeć przed nami. Podjęliśmy szyb-  
Z tych myśli zbudził mnie przeraźliwy krzyk,  
czego poeta w cudu nazwał modrym kwiatem.  
ale w tej chwili zdawało mi się, że zrozumiem, dla-  
"Wiaro w cudu, modry kwiecie!"

Heine rozpoznał jedną pieśń: swęta  
Niejazne były dla mnie niegdys słowa, które mi  
kwiatków; niewypowiedziałem jednak swej myśli.

odpowiadało porównaniu tych pięknych modrych  
Ja jednak dobrze wiedziałem, co by najładniej  
czyście modre oko.

Podnosiła na mnie przystem, jakby pytające, swe  
Wiem doprawdy, do czego bym przyównała.

niem te modre oczy wiosny. Ich piękna barwę nie-  
lat, witam przecież corocznie z radośnym uniesie-  
mi Ułana. Chociaż mieszkałam w tej krainie od kilku  
— I mnie się on nadzwyczaj podoba—odpowiedziała  
na mnie uczył ten kwiat.

Podzieliłem się z Ułaną mitem wrażeń, jakie  
rozjaśniały swą promienną piękność.

na szarem i krzewin, których donurą zieloność  
i żywej barwy, które jeszcze jasrawiej wyglądały  
to gwiazdeczki ciemnoszarawe, nadzwyczaj pięknej  
Jeden kwiat zachwyił mnie szczególnie: były

— 12 —

— 6 —

Suslikowie, krewnym Iwana Iwanowicza, gołowasym  
młodzieniaszku, który mówił ciekawym głos-  
kiem, ilustrując słowa bardzo żywymi gestami i chętnie  
popisując się ze swymi wiadomościami i niewiadomo-  
ściami w zakresie cywilizacji zachodu.

Wszyscy siedzieliśmy na małych, spokojnych ko-  
nikach; damy w wygodnych damskich siodłach, pod  
szerokimi parasolkami, uzbrojone prócz tego przeciw  
palącemu słońcu gestami długimi zawojami, zręcznie  
założonymi pod kapelusikiem, według najnowszej mody  
około skroni i włosów.

Obrońce przewodnictwo naszej karawany stano-  
wili dwaj jeźdźcy kozacy, o osmolonych wąsatych twa-  
rzach. Doskonale ich ubierał malowniczy przez czarno-  
morskie kozactwo od Czerkiesów przyjęty strój: wyso-  
ka włochata czapka, po kostki sięgający w pasie spię-  
ty kabat, świecący z przodu dwoma rzędami nabojo-  
wych puzderek, na nogach wysokie, obcisłe buty, u  
pasa długa cienka szabla, i przez plecy przewieszona  
fuzyja w pokrowcu, z ciemnej sierci z długim włosiem.  
Przed i za siodłem kozaków znajdowały się, jużto  
przywiązane jużto ułożone woreczki; po obu zaś stro-  
nach grzbietu konia wisiały dobrze ułożone jadalne  
zapasy, tudzież podrózne przybory, między którymi  
uwagę zwracał niezbędny u rosyjan samowar.

Wyjechalśmy z Noworosyjska przeprowadzani  
ciekawymi oczyma różnorodnego towarzystwa, zgro-  
madzonego w części na rynku, a w części wygląd-  
jącego z otwartych sklepów i szynczków, gdzie się  
rozweselano winem i wódką.

Był piękny, majowy poranek. Po ciemno błękitnym  
promieniącym widnokręgu, bielili się tu i owdzie le-  
cące obłoczki, jak rozproszona piórka. Długa, jak  
wyciągnięte ramie morskie, głęboko w ziemię wrzyna-  
jąca się zatoka, przy końcu której na lewym brzegu  
leży Noworosyjsk, błyszczała w tej chwili ciemnym

Stawa.

2

zdaleka, jak patrzy zagon kwiatów. Widok tych dorodnych, wąsatych, po większej części silnie ogorzalych żołnierzy, na małych koniach, przebiegających tu i tam po łące a łąkach polskiem zbroi metalowych, pa-sów i roznych ozdób mieniących się w słońcu, był nie-zwykłym dla Europejczyka. Wyglądało to jak w ka-lejdoskopie, w którym obraz zmienia się co chwila. Mingwaczy strażnicę zaczęli zwołać dla siebie pod górę. Trawa zarosła, bardzo wązka dla kół i węż-zykowata droga wila się po pochylności. Z początku mogliśmy iść po dwóch obok siebie. Na przodzie iść miał pułkownik z lekarzem, inni bez porządku za nim; ja w tyle zostałem z Ulaną.

O rozkoszna chwila życia, siódka mocy wspom-nienia! Roznieć się, wiosno, w całkowitej czaro-dziej-skiej twej krasi; dotąd świeci mi w duszy błogi odbłask tego obrazu; do niego też zwracałem niemały-gony wzrok, aż mimowoli zamknęło mi się oko od radosnego wzruszenia. Mamże mówić, że powietrze przeczyszcza, pełne było złotych promieni słońca, że gwiazdce, jakby spadły śniegiem, tam ezerwieniąc krzewy wielkimi polnemi różami, dalej obsypując inne kwiatami odmiennego kształtu i barwy. Ponizej krzewów rozpostarła się białozłota mieszanina różnorod-nych kielichów i dzwonków.

Mysł moja pobiegła daleko, het nad Wława... do ojczyzno-kraju, do złotej Prażi, jakżebym praż-ziemi!

szafirem. Dwie małe, tureckie łodzie, z trójgraniastemi żaglami, kołysały się zlekka u brzegu, na którym le-żeli w piasku malowniczo ubrani przewoźnicy. Tu i owdzie unosił się nad samemi bałwanami biały, mor-ski ptak, a rozpostarte jego długie skrzydła z lekka się zarysowywały na błękitnem tle nieba.

Nieprzejrany łańcuch malowniczych, po większej części stożkowatych wzgórz (niższy to wał kaukaz-kich olbrzymów) ciągnie się po obu stronach zatoki, a za Noworosyjskiem okrąża wielkim łukiem szeroką kotlinę, porosłą po większej części bujnym liściastym lasem. Z miasteczka udaliśmy się w południowo-wschod-nim kierunku tych wzgórz. Łuki ich sięgają swemi kończynami aż do samej zatoki, wzdłuż której ukła-dają się one w długie rzędy, aż do morza, gdzie je zamyka jako najbardziej naprzód wysunięta panorama. Bokami każde z tych wzgórz zrasta się z równole-głymi wzgórzami, a nawet wygina ich grzbiety, od-dzielone od sąsiednich głębokimi wyżłobieniami, a swo-bodne wierzchołki czysto się zarysowują w najrozma-itszych kształtach na jasnym widnokręgu nieba i przed-stawiają się oczom jakby łańcuch wzgórz osobno sto-jących. Nizka i gęsta roślinność porasta je, a mię-dzy świeżą ich zieloność mieszają się ciemne ścia-ny wierzchołków cyprysowych.

Okrążywszy najdłuższe ramię zatoki znaleźliśmy się u stóp jednego takiego wzgórza. Tam, obok małej strażnicy kozackiej, zwróciło naszą uwagę ciekawe wi-dowisko.

Na zielonej łące, u podnóża gór odbywał mustę jakiś oddział kozaków. Czarnomorscy kozacy mają mundur obowiązkowy tylko pod względem kroju u-brania, ale nie barwy. Długi kabat u jednego jest czar-ny, u drugiego biały, trzeciego brunatny, czwartego fi-jołkowy i t. d. Spodnie, a nawet i buty mają także rozmaitego koloru. Tłum ich wygląda w skutek tego

powalnym, tem więcej rosło krzewów i chwastu, a drożna, zarosnięta gęstą trawą, wila się po grzbiecie gór.

Jakkolwiek dotąd tylko niewielki kawałek dro-gi ujechalismy i to dosyć wygodnie, skarzyła się prze-wież Anna Kiriłowa podczas każdego ruchu swego konika na tudy niezłiwiej jazdy, a przegłosowała wszystkie protesty panien, dowodziła, że biedne te istoty, bez należytego wypoczynku dalej iść nie mogą. Na ostatku wyrwało jej się wreszcie z ust pół-głosem "eżaj", a magiczemu wrzeniu tego słowa rosłam rzadko się oprze.

Zastaliśmy więc do odpoczynku na zastanej gęstą, mięką murawę polaną, pod wierzchołkiem gó-ry, z kądem ukazywała się droga, wiodąca na przeciwną stronę. Przez ten czas, gdy Anna Kiriłowa krząta-ła się około samowaru, a konie pod dozorem kozaków opodal się pasły, rozkoszowaliśmy się czarnymi widokiem, który się ztąd oozom naszym na wszyst-kie strony odsłaniał.

Na zachód bieżniata pod nami druga zataka, spływająca się w oddaleniu z szerokim morzem; za nią widać się łańcuch zielonych, stożkowatych wierzchołków, obejmujących z północy przestronną lesistą kotlinę; w głębi widać było kilka wiosek i skąpo rozrzucone chutory, czy futury, jak je tam nazywają. W tej to kotlinie znajdują się czeskie osady Kiriłowska, Metodowska, Głęboka. Pod nami nad zatoką leżał Noworosyjsk. Na południu i wscho-dzie, tam, gdzie nas czekała dalsza droga, rysowały się malownicze góry—im dalej, tem wyższe, aż w końcu i mgie najspanialsze ich szczyty niknęły. Wszyst-ko tworzyło obraz dziwnie piękny.

Widac tu było wierzchołki gór, rozlicznych kształ-tów, oddzielone powabnymi dolinami; prawie wszystkie gęstemi porosłe krzewami i lasem, gdzieś gdzieś tam, podłowy, po większej części jednakże jasnym

liściastym. Jego rozmaite odcienie, świeża i piękna zieloność, łagodnie bawiły oko; miejscami błyszczały między tą zielonością albo na wychylających się od-łamach skał, potoki i wodospady, jak srebrzyste wste-gi, a mgła snuła się tu i owdzie po wyżłobieniach, al-bo trzymała się po bokach lesistych wierzchołków, przybierając najdziwniejsze kształty. Góry się oży-wiły, a fantastyczna szata, utkana z mgły i promieni, stroiła je coraz inaczej z niewypowiedzianym wdzie-kiem.

Jak tylko okiem zasięgnąć było można, nie wi-dać było nigdzie stopy ludzkiej, ani śladu życia; żadnej wisieczki, żadnego dworku, żadnego obłoku, dymu, któryby zwiastował osamotnioną chatę lub ogień pa-sterzy. W głuchej samotności i nienaruszonym spo-koju, rozposcierał się przed nami ten uroczy górski kraj, opustoszała siedziba Czerkiesów.

— Patrzenie, tu każda piędź ziemi głosi sławę Boriatyńskiego,—zawołał stary pułkownik z iskrzącym okiem. Miał on tu pracę nielada, zanim złamał o-statni opór Czerkiesów, w tych niedostępnych górskich wąwozach.

— Hm! sława, sława!—przemówiła Maryja An-drejewa, wydymając pogardliwie bladuróżowe ustecz-ka. I cóż to jest sława?

— Ach! Maryjo Andrejewno, i pani zapytuje, co to jest sława? Widocznie pogardza pani wawrzy-nem bohatera, który z szlachetnym zapalem, mieczem swym dzielnie pomagał torować drogę wielkiemu po-słannictwu ojezyznu.

— Jeżeli pod znaczeniem "sławy" rozumiemy gro-madną walkę na zadowolenie cheiwości lub żądzy pa-nowania jednej osobistości lub też całego narodu—to taka sława budzi we mnie nietylko pogardę, ale więcej powiem, wstręt!—zawołała głośno Maryja An-drejewa, a chłodne, zielonawe oko jej na chwilę ży-wiej zabłysło.